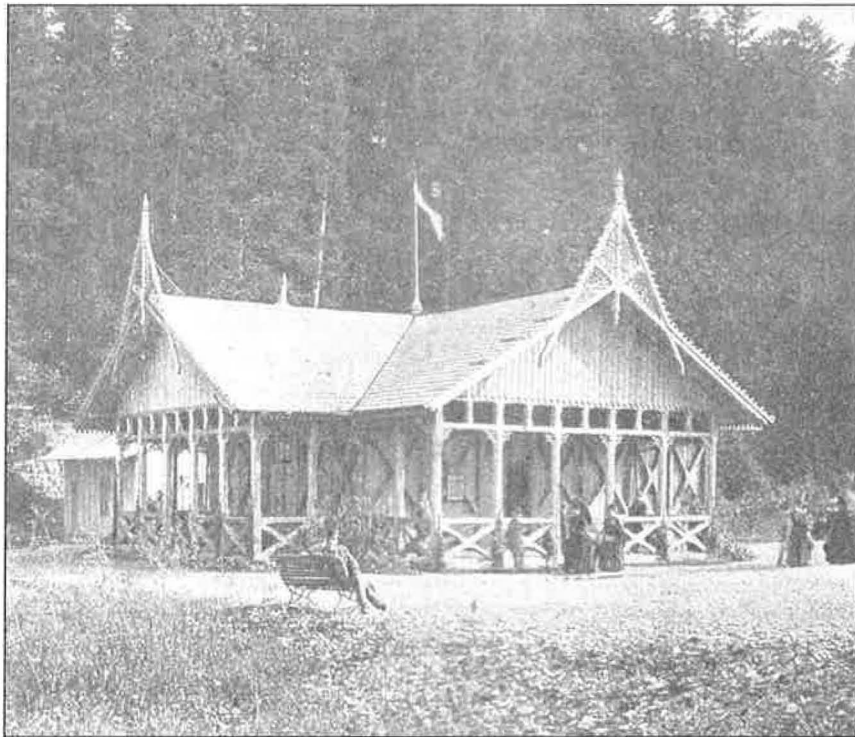


ROCZNIK

RYMANOWA ZDROJU



STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

1997
TOM II

FOT-ART'94

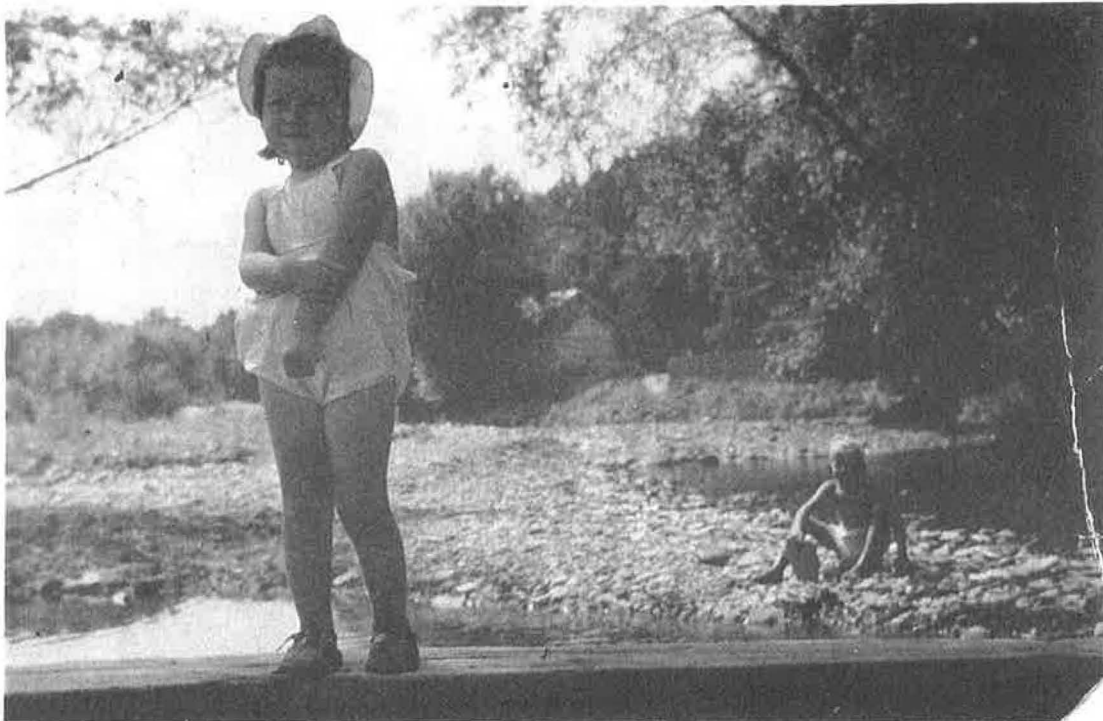
*Maria Ładyńska***ŚWIAT DZIECINNYCH MARZEŃ**

Do Rymanowa przyjechałam jako dziewięcioletnia dziewczynka. Wraz z dwiema siostrami dostałam się do zaczarowanego świata. Wioska otoczona górami, starym lasem oraz niezmiernymi kwietnymi łąkami opanowała naszą wyobraźnię. Brzegi rzeki, zarośnięte gęstymi krzakami i wysokimi na chłopa (dziesięcioletniego) łopianami kryły wiele tajemnic. Godzinami mogliśmy obserwować tłuste zaskrońce, spokojne i leniwe, które wyciągały ku nam śmieszne języki, pragnąc lepiej nas poznać. Z czasem wydawało się nam nawet, że się z nami zaprzyjaźniły.

W kłębowisku krzaków bez trudu znajdowaliśmy miejsca dogodne do budowy szałasów i zabawy w „dom”. Czasem jednak spokojnie dziatki zamienia-

ły się w groźnych czerwonoskórych, po niedostępnych chaszczach podchodzących urojonego wroga z łukami, z patykami i strzałami z gałązek. Rozbrzmiewały wojenne indiańskie okrzyki, a wódz siedział na najwyższym drzewie i wrzaskiem dawał znać o zbliżaniu się białych twarzy, czyli kogoś dorosłego.

Wartka rzeka z szumem i pluskiem toczyła się wśród zarośniętych brzegów. Woda była okropnie zimna jak zwykle w górskich strumieniach. Nie przeszkadzało to chłopcom. Podwijali portki do kolan i na rozstawionych, przygiętych nogach, kołysząc się jak kaczkę, ostrożnie, żeby nie pokaleczyć się o ostre kamienie, łapali ryby. Uprawiali ten proceder według własnego patentu. Cicho, prawie na palcach śledzili upatrzoną



Nad rzeką Tabor. Z albumu rodzinnego Krzysztofa Smereckiego.

ofiare, a gdy ta schowała się pod kamień, zanurzali pod nim ręce i wyciągali zdobycz jak swoją.

– Okuń! Okuń! – rozlegało się co chwila i srebrzysta rybka, wywijając ogonem wędrowała do słoika. Ci dżentelmeni robili to wyłącznie dla sportu, żeby się popisać przed dziewczuchami zręcznością. Potem cały połów z powrotem wędrował do Taboru.

Małe, płaskie, oszlifowane przez wodę kamyki nadały się do puszczania kaczek w zawody, komu się więcej razy odbije. Niektórzy byli w tej dziedzinie prawdziwymi mistrzami. Inny rodzaj konkursu stanowiło płucie w dal z mostka. Jak się stało na tym mostku patrząc w rwący nurt rzeki, twarzą pod prąd, nagle ziemia ruszała z posad i z zawrotną szybkością pędziła w górę rzeki. Wrażenie było tak silne, że po chwili przyprawiało o zawrót głowy, u niektórych wywoływało nawet chorobę morską.

Na Taborze budowaliśmy tamy, woda się piętrzyła tworząc kąpieliska w sam raz dla dzieciarni. Obowiązywał styl rymanowski: chodzenie na rękach po kamieniach z jednoczesnym waleniem z całych sił nogami i rozpryskiwaniem strumieni wody.

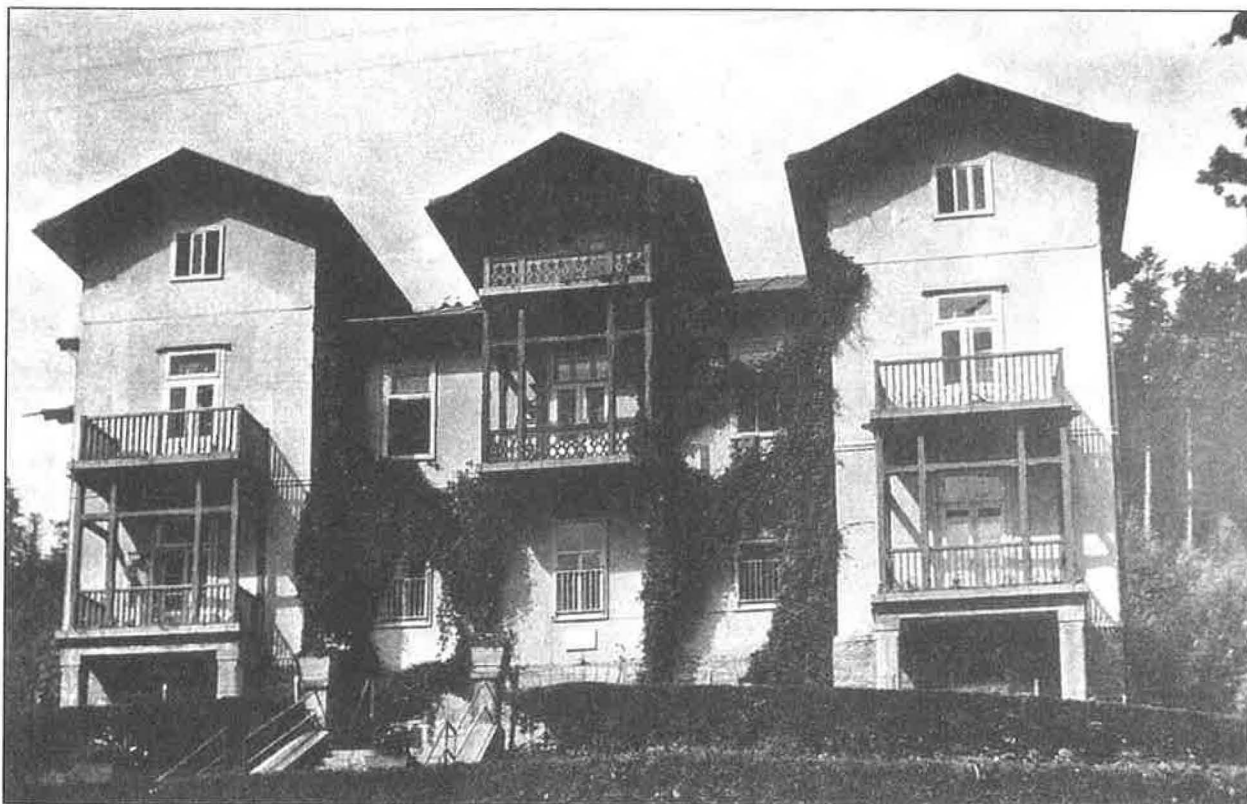
– Płynę! płynę! – wrzeszczał jeden przez drugiego wywołując zazdrość kolegów, którzy z jakiegoś niezrozumiałego powodu święcie w to wierzyli.

Na jednym z brzegów rzeki rosły jakieś rachityczne krzaki, w których ustawiono tablice ostrzegające o minach. Wzdłuż zagajnika biegła ścieżka, nazwana przez nas „czarna droga”. Wiele emocji dostarczało przemierzanie jej, ostrożnie, ze wstrzymanym odde-

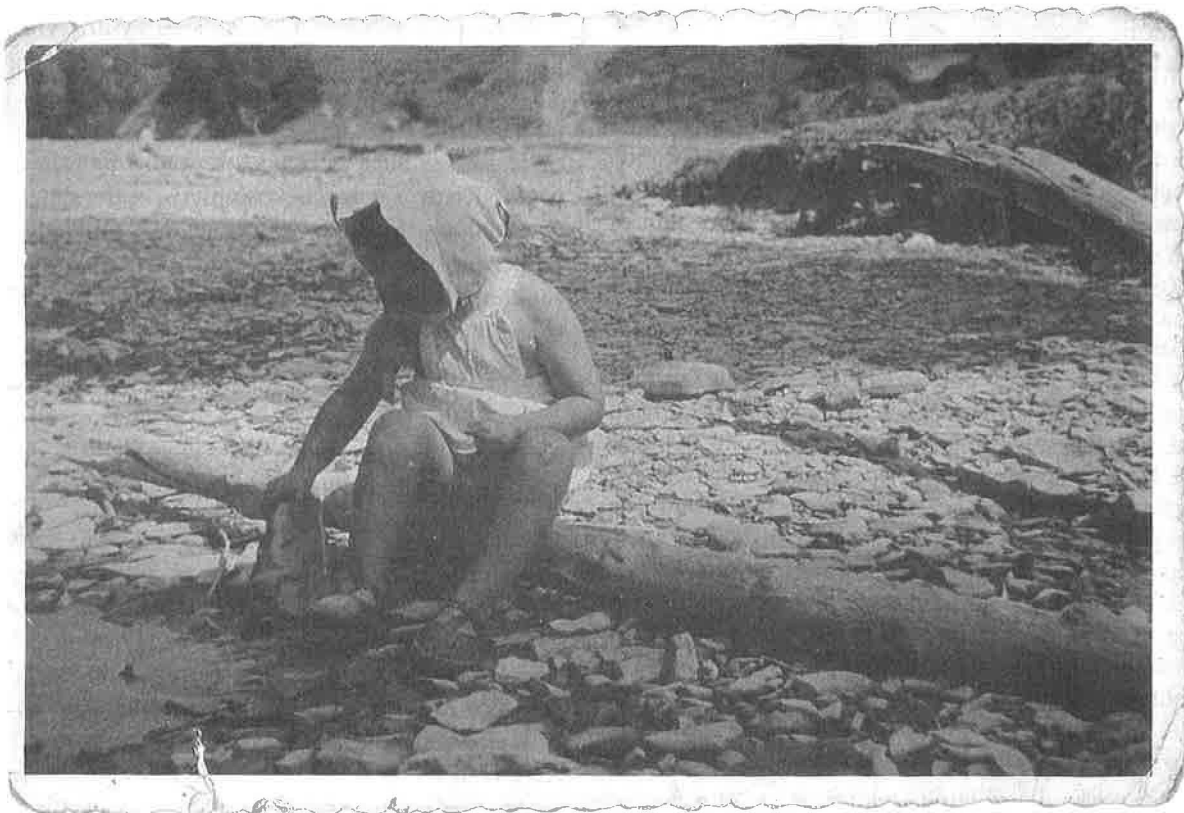
chem, żeby nie wybuchło. Zakładaliśmy się kto przejdzie. Potem z piskiem i wrzaskiem pędziliśmy do pijalni, żeby popróbować sił na ohydnych wodach mineralnych. Naszą faworytką stała się Klaudia, rekord wynosił dwadzieścia szklanek na osobę. Do dziś nie mogę uwierzyć, że nie popękały nam od tego brzuchy.

Nad całym Rymanowem piętrzył się stary las. Wczesną wiosną obsypany był kwieciami: zawilce, pierwiosniki, przebiśniegi, kaczeńce pokrywały go niczym kobierzec. W lecie dostarczał obfitości owoców, poziomki, jagód, na które zabieraliśmy się z wiejskimi kobietami, znającymi takie miejsca, gdzie siedząc sobie wygodnie na mchu najadaliśmy się do syta i zbieraliśmy pełną bańkę dla rodziny na deser. Najlepsze maliny rosły nad Teresą. Należało tylko uważać na żmije miedzianki, które lubiły wygrzewać się na słońcu i mogły nawet ugryźć. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, włożyłam w największy gąszcz. Owoce tam były wielkie jak bomby, słodkie, pachnące, pyszne. No i dograłam się. Nagle poczułam ostre ukłucie w stopę i okropny ból. Od razu wiedziałam, że ugryzła mnie żmija. Jak szalona pobiegłam w dół, do Zdroju. Po drodze przypomniały mi się nauki, jak postępować w podobnych sytuacjach. Pamiętałam, że coś trzeba przewiązać, tylko nie pamiętałam, czy w górę od miejsca ugryzienia, czy w dół.

Nie dobiegnę – myślałam z trwogą – zemdleję i nikt mnie tu nie znajdzie. Na wszelki wypadek postanowiłam sprawdzić. Dygocącymi rękami odwiązałam tenisówkę, okropnego miałam stracha przed



Sanatorium "Teresa" (lata 60.). Ze zbiorów Krzysztofa Smereckiego.



Zabawa na "kamieńcu" rzeki Tabor. Z albumu rodzinnego Krzysztofa Smereckiego.

spojrzeniem. Zmusiłam się jednak. No tak, noga spuchnięta, a w bucie niewielka, zdychająca pszczoła. Nie mogłam powiedzieć o tym rodzicom, bo doczekałabym się szlabanu na wchodzenie do lasu. Powoli pokuśtykałam w dół, do spółdzielni pani Szulowej, gdzie kupiłam torebkę oranżady i stojąc na ganku zlizywałam żółty proszek z palca. Czekając, aż zejdzie opuchlizna, w zadumie patrzyłam na Górę Zamkową. Dzieciaki mówiły, że nazwa jej wiąże się z ruinami zamku królowej Bony. Nieraz wybieraliśmy się tam w poszukiwaniu pozostałości legendarnej budowli, ale nikomu nie udało się ich znaleźć.

Przybiegło kilku chłopaków. – Chodź z nami – zachęcali – Lecimy do leśniczówki, jest tam oswojona sarna. Zapominając o bólu, popędziłam z nimi na Wołuszową, gdzie z twarzami przylepionymi do drewnianego ogrodzenia obserwowaliśmy piękne zwierzę, spokojnie wyszukujące smakowitych kęsów w ogrodzie warzywnym.

Chyba nigdzie jesień nie jest taka cudowna, jak w Rymanowie. Mieszane lasy mienią się w słońcu złotem, zielenią i różnymi odcieniami brązu. Nastął raj dla grzybiarzy. Jedno swoje miejsce mieliśmy nad Bałucianką, gdzie była wielka obfitość maślaków. Na rydze jeździliśmy nad Królik. Nigdy w życiu nie widziałam takiej obfitości. Wybrawszy niewielką polanę, nie ruszając się z niej, napełniało się cały kosz. Nie zbieraliśmy byle czego. Zanim wyruszyliśmy w las, mama dokładnie informowała, czego oczekuje: – Dzisiaj potrzebuję same malutkie, na marynaty – po-

uczała. Innym znowu razem wybieraliśmy nieco większe kapelusze na smażenie. Ach, co to był za smak... Co roku kredens zapełniał się przetworami, suszami oraz grzybkami solonymi, które zimą smażyło się na maśle.

Kiedyś wybraliśmy się do lasu po ulewie, bo jak wiadomo, grzyby rosną po deszczu. Nasz tata, człek uparty i wygodny, lubił dojeżdżać samochodem tak blisko, jak tylko się dało. Dzielny moskwicz mozolnie wspinał się pod stromą górę. Nagle drogę zagroziła nam szeroko rozlana kałuża. Rodzina w krzyk: – Nie przejeżdżaj, bo ugrzęźniemy! Dla ojca jednak nie istniało słowo nie. Nacisnął pedał gazu i jak amfibia wjechał w sam środek grzęzawiska. Samochód zarył się po osie i stanął bezradnie. Wszyscy wysiedli, żeby pchać, bo koła ślizgały się w błocie. Jedna z przyjaciółek rodziców, która towarzyszyła nam w wyprawie, tak się zaparła, że bryzgające błoto wpadło jej pod spódnicę i siłą rozpędu wyleciało przez dekolt. Na całym ciele pozostały, oczywiście, rozkoszne piegi.

Nie było wyjścia, moja starsza siostra zbiegła do wsi i po chwili wróciła, jak prawdziwa kowbojka – na oklep, na rumaku. Drugiego konia dosiadał chłop, który zaprzęgił zwierzęta do samochodu i jednym szarpnięciem wyciągnęli go z topieli.

My, dzieciaki, poszukiwaliśmy własnych skarbów jesieni. Najwięcej kasztanów rosło na placu gospodarczym. Wisiały nad samą ziemią pękające, dojrzałe, brązowe. Po podejściu bliżej okazywało się jednak, że są odrobinę za wysoko. A pod drzewem stała wielka

skrzynia z czarną pokrywą, jakby ją ktoś tu specjalnie dla nas ustawił. Bez wahania położyłam nogę na wieku, które nagle ożyło... Ooo, zaczęło mnie wciągać w dół, w kleistą maź. Z wrzaskiem wpadłam po kolana w smołę, która obrzydliwą skorupą okleiła moją nogę. Straciłam but. Rada nie rada, musiałam paradować w tej „pończosze” przez cały Zdrój, dostarczając uciechy przechodniom.

Kończyły się jednak żarty, nadchodziła zima, mroźna, śnieżna, rymanowska. Trzydziestostopniowe mrozy, huragany od Przełęczu Dukielskiej, tworzące na drogach zasy, porywające ciężkie śnieżne bryły i tańczące z nimi po drogach, nie należały do rzadkości. Chodziłyśmy wtedy ze starszą siostrą do Rymanowa Miasta, do szkoły. Przy sprzyjającej pogodzie jeździło się autobusem, czasem jednak z powodu zasp ustawała wszelka komunikacja. Pozostawały wtedy tylko własne nogi. Pamiętam mordercze wędrówki ze szkoły, przy szalejącym wietrze, wyciskającym z oczu łzy, które zamarzały na policzkach, ręce zmieniały się w sople lodu, przemarzniete stopy z trudem torowały sobie drogę w kopnym śniegu.

A gdy temperatura opadała poniżej trzydziestu stopni, kiedy rano szłyśmy do szkoły, widywałyśmy wilcze ślady na zmarzniętej rzece. Nocą zwierzęta podchodziły do samego Zdroju w poszukiwaniu żywności. Czasami ruszały obławy i wracały z upolowanymi basiorami, powiązanymi za łapy do długich drągów. To był dla nas okropny widok, nie wiem, czy zdołam kiedyś o tym zapomnieć.

Nawet najcięższa zima nie była w stanie nas pokonać. W największe mrozy szaleliśmy na nartach i sankach. Do wieczora góra PCK rozbrzmiewała wrzaskiem dzieciarni. Ale się tam zjeżdżało! Na oblodzonym, wyslizganym stoku żelazne płozy sanek mknęły

z zawrotną prędkością. Czasem ktoś wyskoczył z toru i runął w zaspę aż się zakurzyło. Tym lepiej, pośmiał się, wyciągnął sanki ze śniegu, rzucał się na nie byle jak i pędził dalej.

Nie zawsze zima była tak okrutna. Miewała swoje uroki. Kiedy się trochę ociepliło, wiatr, zmęczony wielodniową hulanką, zasnął w leśnych ostępach, urządzano dla dzieciaków kulig. Wiązaliśmy jedne sanki do drugich i kolorowy, rozśpiewany wąż ruszał w kierunku Królika.

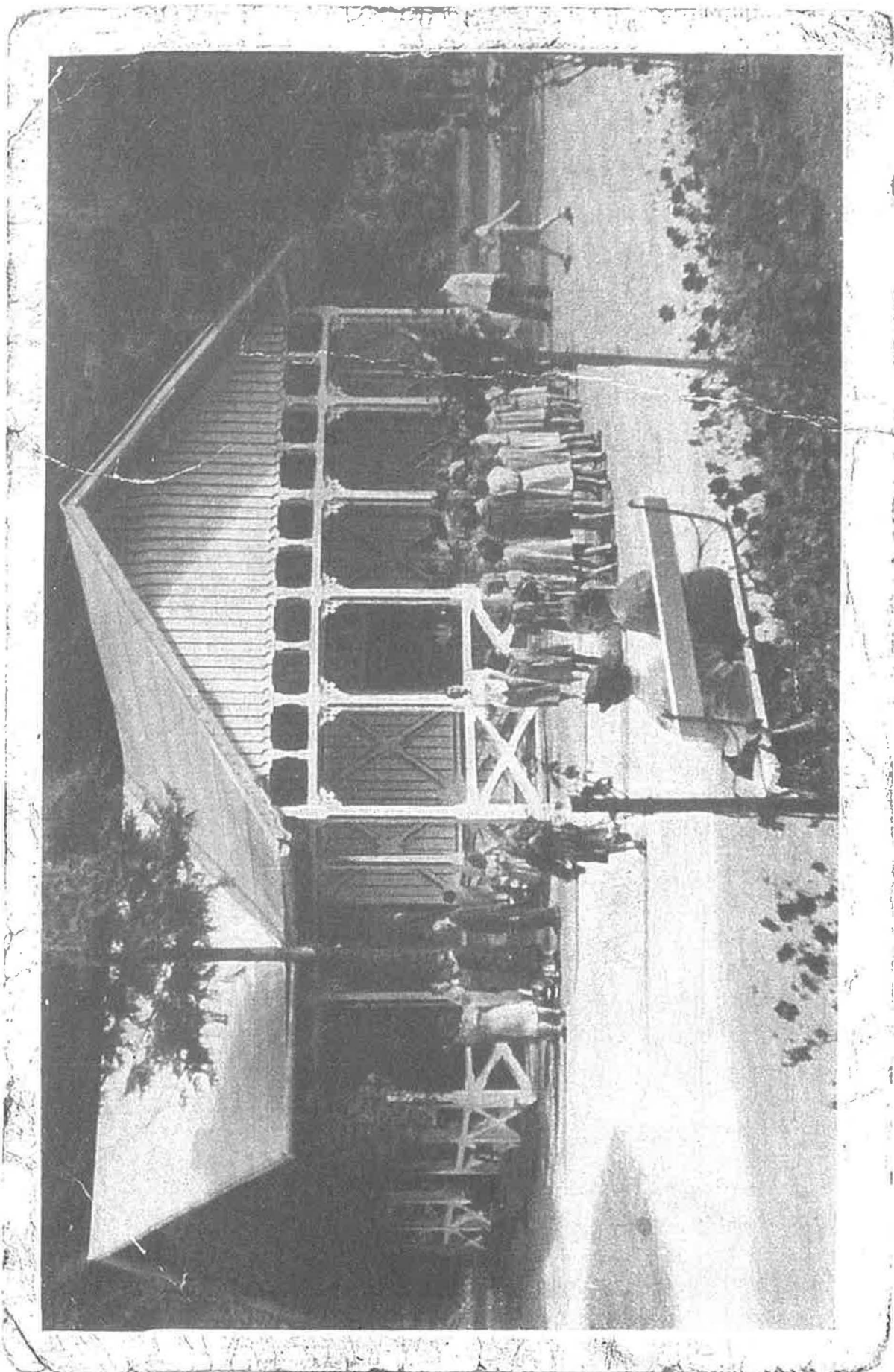
Podkówecki dajcież ognia
Bo dziewczyna tego godna
A czy godna, czy nie godna
Podkówecki dajcież ognia

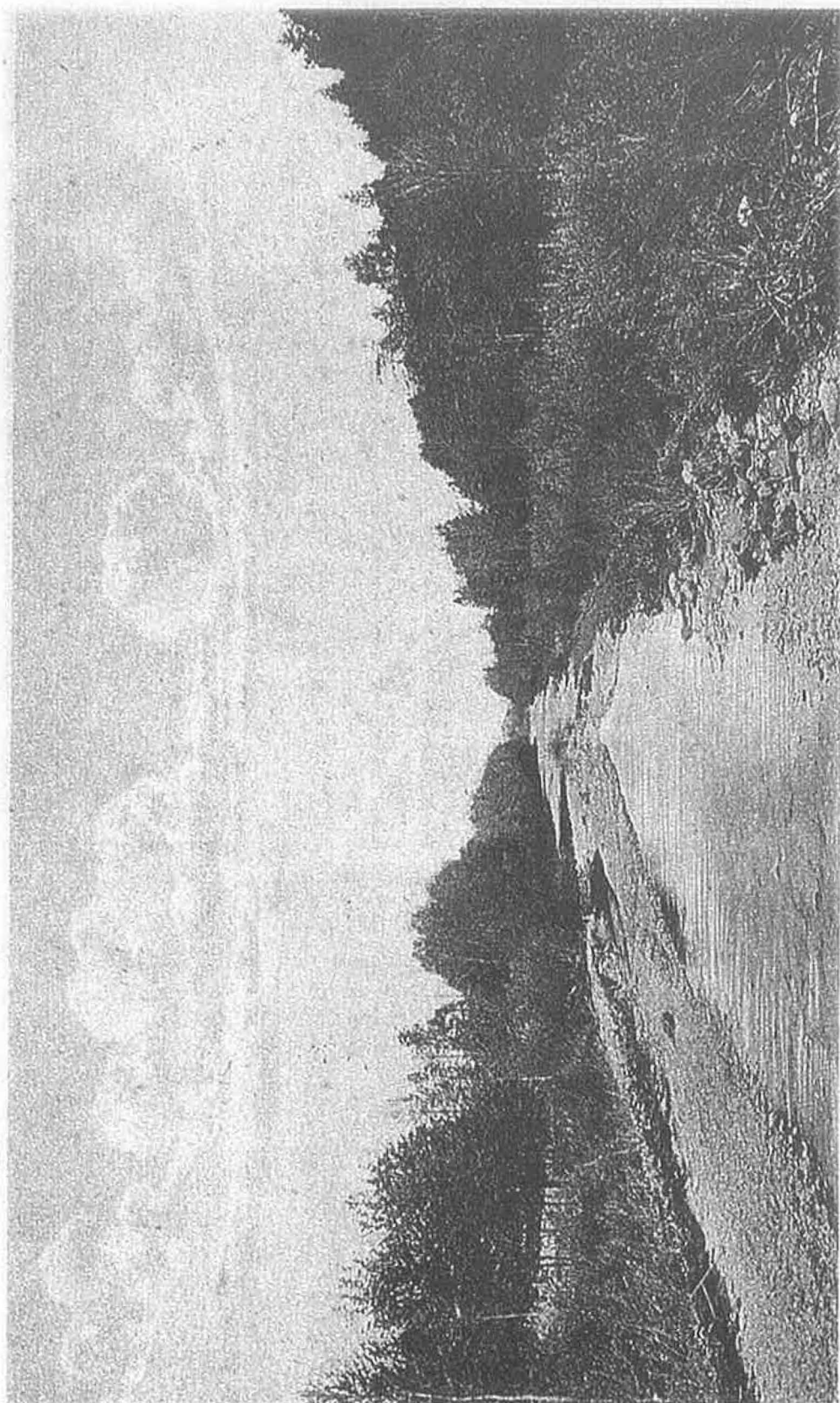
– darliśmy się na całe gardło. Pełno było przy tym śmiechu, gonitw i tarzania się w zaspach. Drzewa w śnieżnych czapach stały znieruchomiełe w dostojnej zadumie. Szumiały płatki śniegu padające na gałęzie. Świat okrywał się puchowa pierzyną, która potem w słońcu zalśni tysiącem igiełek. W długi zimowy wieczór siedziałam na oknie, skulona na parapecie, kolana podciągałam pod brodę, obejmowałam je ramionami. Śledziłam zabawy śnieżynek w świetle przydrożnej latarni. Padało, padało niestrudzenie. W kuchni mama krzątała się wokół świątecznych przysmaków, na balkonie wisały zające na pasztet. Wielka choinka mrugała lampkami, wypełniając pokój leśnym aromatem.

Ciągle to pamiętam, każde święta przenoszą mnie w tamten urokliwy świat dziecięcych marzeń. Do tego mojego miejsca na ziemi, którym na zawsze pozostał Rymanów.



Na spacerze w Parku Zdrojowym. Z albumu rodzinnego Krzysztofa Smereckiego.





RYMANÓW-ZDRÓJ. Rzeka „Taba“ z Olszynką.